



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

Nr 214

(c).

# CZYN CHWALEPNY

OPOWIADANIA.



Warszawa — 1920

GLÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.



214

69. 96.

ČYTANIA ŹÓŁNIERSKIE — № 6 (c).

---

**KOBOS TADEUSZ**

**L.....**

**CZYN CHWALEBNY**

opowiadania.



Warszawa — 1920.

GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.

Wydane z polecenia Sekcji Oświaty i Kultury  
Oddz. III Szt. M. S. Wojsk. — 14/XI 1920.

---

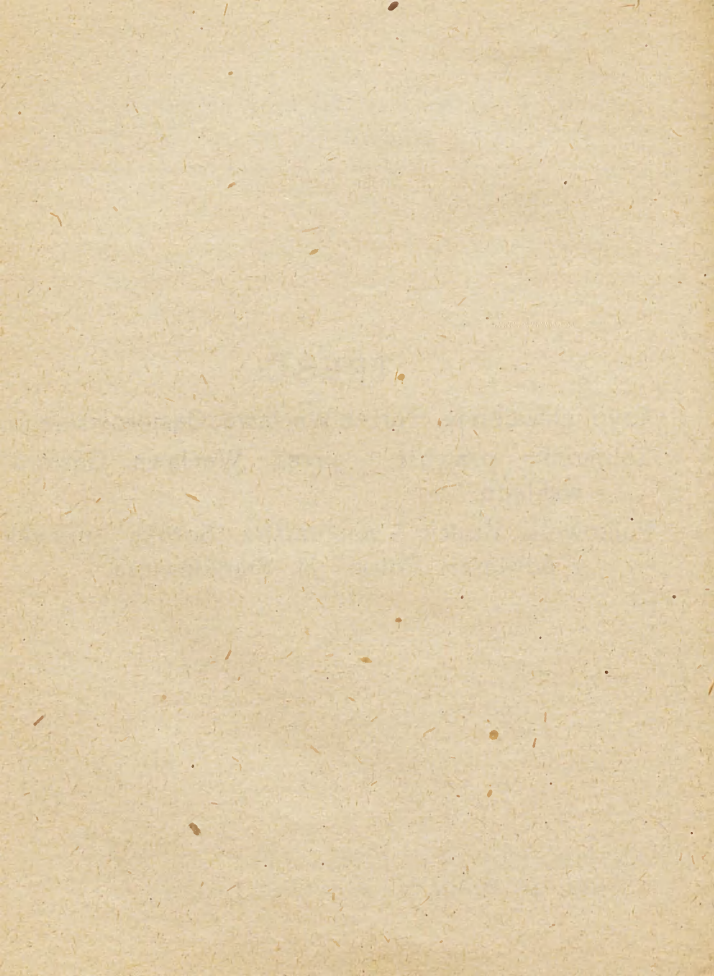
TŁOCZNIA J. KONDECKIEGO  
MARSZAŁKOWSKA № 53 a.

## **TREŚĆ:**

Czyn chwalebny — przez Wacława Gąsiorowskiego.

Żołnierska prawość — przez Wacława Gąsiorowskiego.

Pułkownik Kmicic i wachmistrz Soroka — urywek z powieści „Potop” H. Sienkiewicza.



## Czyn chwalebny.

Dnia 24 października 1812 r. pierwszy korpus wojska francuskiego, otrzymawszy rozkaz opuszczenia Moskwy, na czas przybył do Miłosławicz, aby wziąć udział w bitwie, stoczonej przez księcia Eugenjusza, wice-króla włoskiego, na czele 4-go korpusu przeciw zjednoczonym siłom armji nieprzyjacielskiej. Pułkownik Kobyliński, adjutant marszałka Dawoust\*), wysłany został z rozkazem. Gdy przejeżdżał linię bojową, kula nieprzyjacielska zwała go z konia.

Wieczorem tego pamiętnego dnia, miasteczko Miłosławicze, kilka razy odbierane, znów opuszczane, dostało się nakoniec w ręce nasze.

Gdy marszałek objeżdżał plac boju po bitwie, człowiek oblany krwią, podnosząc się z pod kupy trupów, odezwał się:

---

\*) czytają: Dawu.

— Koledzy, czy dacie mi zginąć?

Był to pułkownik Kobyliński, o którym sądzono, że w zamieszaniu bojowym dostał się w niewolę nieprzyjacielską. Natychmiast eskorta marszałka zrobiła nosze z broni, leżącej na pobojowisku, i oddano chorego staraniom lekarzy wojskowych. Niestety, chirurg, obejrzawszy ranę, wzrokiem dał poznać marszałkowi grożące wielkie niebezpieczeństwo. Po odbytej naradzie zebranych lekarzy orzeczono, że pułkownik Kobyliński nie może być inaczej uratowany, jak przez odjęcie nogi, którą kula armatnia urwała już do kolana. Co żywo wzięto się zatem do bolesnej operacji, a pułkownik, przyciskając do serca rękę wodza, powtórnie stracił zmysły.

Nazajutrz otrzymał marszałek rozkaz, by opuścić jaknajśpieszniej drogę, wiodącą do Kaługi, a cofać się drogą ku Wilnu, którą obrała cała armja. Już wojsko marszałka rozpoczęło marsz odwrotny, gdy oficer wysłany dla dowiedzenia się o zdrowiu Kobylińskiego, przyniósł pocieszającą wiadomość, że pułkownik wytrzymałszy bóle, żyje.

Ponieważ ambulanse, zostawione poza kor-

pusem, inną zupełnie drogą szły ku Wilnu, a bagaże wszelkie z rozkazu cesarskiego dla ułatwienia marszu zostały spalone, cóż więc było robić z nieszczęśliwym Kobylińskim? Los jego mocno zajmował marszałka. Stanąwszy tedy przed jedną kompanją grenadjerską, temi słowy przemówił:

— Żołnierze! Mój adjutant, pułkownik Kobyliński, od kuli armatniej utracił nogę. Wam go oddaję i polecam waszym staraniom. Pilnujcie go, jak pilnujecie waszej chorągwi.

W kilka minut pułkownik Kobyliński, umieszczony na noszach, znajdował się w pośrodku kompanji, a ciągłe starania i przychylność żołnierzy w ciągu marszu krzepiły go nadzieją, że odzyska zdrowie.

Przez kilka dni pochód korpusu odbywał się w porządku, lecz w miarę wzrastającego zimna i głodu pokazywały się już początki rozstroju i nędzy. Kompanja grenadjerska szła zwolna prawie sama jedna wśród niedobitków armji, zachowując porządek. Co chwila musiała zatrzymywać się i dla odpędzenia kawalerji nieprzyjacielskiej, napastującej ją wśród okrzyków: „Hurra!” — otaczać rannego kołem lub też szybkim atakiem

przebijając się przez łupy nieprzyjacielskie; zawsze z należytem spokojem, męstwem i odwagą nieustraszoną.

Gdy w całej armji największy panował nieład, ta kompanja składała ciągle dowody karności i poświęcenia. Czemuż to przypisać? Zapewne tej po części przyczynie, że już nie szło im o własne życie, ale pamiętne były każdemu słowa, wyrzeczone przez marszałka.

Nawet po kilkotygodniowym marszu, w największej biedzie i nędzy, poczciwi grenadjerzy nie chcieli słuchać prośb pułkownika, który sprzykrzywszy sobie takie życie, błagał ich ze złożonymi rękoma, ażeby go zostawili na drodze.

— Pułkowniku!— odpowiadali starzy wścieczeni—żywego lub umarłego musimy cię jemu oddać, taki bowiem mamy rozkaz marszałka. Resztę oddajemy woli i opiece Najwyższego.

Tymczasem coraz większe mrozy, śniegi i nędza umniejszały tę bohaterską kompanję, tak, że przybliżając się do Wilna, liczyła już tylko pięciu grenadjerów, którzy kolejno nieśli pułkownika. —Nareszcie, wyszedłszy na górę, ujrzeli z niej szeregi murowanych domów. To było Wilno,

owa ziemia obiecana, ze swemi rozkoszami, tyle pożądanemi, nadzieja dostania garści słomy i kawałka chleba. Otucha wstąpiła w serca ostatnich pięciu grenadjerów. Niestety jednak, tak byli osłabieni, że trzech padło zaraz bez zmysłów, później jeszcze jeden. Wreszcie ostatni z nich, nie odstępując nieszczęśliwego pułkownika, a nie mogąc go sam udźwignąć, ciągnął z góry za sobą nosze, na których ranny leżał i tak wciągnął drogi ciężar do miasta. Tutaj dopomogli mu nadchodzący żołnierze. Zaniesiono pułkownika do małego domu, w którym była główna kwatera marszałka Dawoust. Marszałek otrzymał zawiadomienie, że kompanja grenadjerska, której powierzył pułkownika Kobylińskiego, uczyniwszy zadość rozkazom, uprasza, ażeby mogła mu go przedstawić. Marszałek wyszedł natychmiast do nich.

— Gdzie jest mój adjutant?—pyta.

— Tu—odpowiadają.

— A kompanja?

— Tu, mój marszałku.

— Pytam o kompanję?—powtarzał marszałek.

— Tutaj—odpowiada grenadjer, wskazując na siebie.

— A twoi koledzy?

— Tam, w śniegach!

Marszałek ze łzami w oczach uściskał grenadjera, którego nazwiska nie przechowała nam historja.

---

## Żołnierska prawość.

Było to w roku 1813 po strasznym odwrocie wojsk napoleońskich z pod Moskwy. W sklepionej komnacie krakusowego grodu siedział książę Józef Poniatowski, zasunięty w głąb staroświeckiego fotelu, a na pięknym jego czole widniała zaduma. Naraz wszedł oficer służbowy. Książę rzucił nań pytającym wzrokiem.

— Trzeci bataljon piątego pułku piechoty!—meldował oficer.

— Ilu?

— Dziewięćdziesięciu!

— Kto prowadzi?

— Sierżant Brochocki. Wasza książęca mość każe wprowadzić?

— Niech wejdzie!

Oficer otworzył drzwi. Do komnaty wszedł wyprostowany jak struna sierżant i zaraportował:

— Jan Brochocki, sierżant starszy pierwszej kompanji, trzeciego bataljonu, piątego pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, z prawa starszeństwa prowadzący resztę oddziału.

— Zostaliście rozbici?

— W wąwozach Ponarskich, generał Płatow natarł na strzelców, ci uciekając zmieszali nasz korpus...

— Wiem, wiem:—przerwał gorączkowo książę Józef. Cała nasza armja tak ginęła! Czego nieprzyjacieli nie dokonał, to zrobił głód.

Tu przerwał nagle Poniatowski i zapytał sierżanta:

— Stan twojego oddziału?

— Dwudziestu lekko rannych, piętnastu chorych. Trzydzieści karabinów, cztery umundurowania pełne...

— Biedacy! Nędzarze! Jak was tu i czem opatrzyć? wybuchnął książę, a po chwili smutnego zamyślenia zagadnął z gorzkim uśmiechem:

— A buty?

— Są.

— Ile par?

— Jeden!

Poniatowski teraz dopiero powiódł wzrokiem po wyprostowanej figurze sierżanta. Spojrzał na nogi, owinięte w czarne płachty sukienne, na płaszcz pstrzący się od różnokolorowych łat, na sznurkiem związaną ładownicę, w końcu na twarz pomarszczoną, zawiędlą i dwa krzyże błyszczące na zapadłej piersi sierżanta.

— Mości poruczniku!—rzekł książę do oficera służbowego—opatrzyć ich, czem można! Niech dziś wypoczną. Jutro niech kwatermistrz weźmie ich pod szczególną opiekę. Dzielny to był pułk!..

— Według rozkazu!

Naraz Poniatowski rzucił pytanie:

— A sztandar?

— Jest przy oddziale.

Cień smutnego zadowolenia przesunął się po twarzy księcia Józefa. Podeszedł do sierżanta i rękę mu na ramieniu położył.

— Brochocki! Nagroda cię nie minie? Za co masz krzyże?

— Bitwa pod Grzybowem w 1809 i Smoleńsk.

— Czekał! Brochocki... Brochocki?.. Byłeś przy szturmie Zamościa?

— Tak jest wasza książęca mość.

— Witaj mi, stary towarzyszu! Posiwialeś mi coś bardzo. Idź, idź, wypocznij, a jutro zamelduj się...

Sierżantowi zamglone oczy dziwnym nagle zajaśniały blaskiem, powieki drgnęły nerwowo, na pergaminowej twarzy żywy wytrysnął rumieniec. Oficer służbowy skinął nań żeby szedł; ale sierżant nie ruszył się z miejsca, wyprostował się jeszcze bardziej i zwrócił się do Poniatowskiego:

— Wasza książęca mość, melduję pokornie, że kasa pułkowa z nami przybyła!

— Kasa?!—pochwycił żywo książę.—Co za kasa?

— Siedem tysięcy dukatów w złocie!..

— Co? uratowaliście kasę pułkową?

— Tak jest, wasza książęca mość, kiedy pułkownik nasz umarł, a wózka pod kasę nie można było dostać, rozdzieliliśmy pieniądze między siebie, obawiając się napaści. Piętnastu szeregowców w drodze się odłączyło, lecz części swoje oddali, nie brak ani szeląga!

— Brochocki—ozwał się książę, uderzony tą wiadomością,—umiesz czytać?

— Umiało się, wasza książęca mość, lecz już się nie pamięta!

— Skąd rodem?

— Szewc z Warszawy.

— Jesteś podporucznikiem!

Pierś sierżanta zadygotała nagle. Chciał coś odpowiedzieć, podziękować za nagrodę, o której nie marzył nigdy, lecz słowa uwieźły mu w gardle.

Lza tylko ciężka, jakby brzemienna całym bólem przebytych trudów wojennych, zawisła na szronem okrytych wásach.

Książę odwrócił się i nie patrząc na Brochockiego, rzekł:

— Jutro, jutro zameldować mi się podporuczniku!

Oficer ujął zlekka pod ramię Brochockiego i wyprowadził go z komnaty.

---

## Pułkownik Kmicic i wachmistrz Soroka.

Oba wojska — hetmana Sapiehy z jednej strony i szwedzkie pod dowództwem zdrajcy, Bogusława Radziwiłła, z drugiej — stanęły naprzeciwko siebie w okolicach Sokółki.

Przed rozpoczęciem bitwy Bogusław postanowił próbować układów i wysłał do obozu polskiego dwórzanina swego i przyjaciela, Sakowicza. Podczas układów z Sapiehą wspomniał Sakowicz, że onegdaj patrol wojsk szwedzkich złapał człowieka, który już raz należał do zamachu na życie Bogusława. Obecny wówczas w komnacie pułkownik Andrzej Kmicic zbladł i przez zaciśnięte zęby wyszeptał:

— Gorzel! gorzel!

Kmicic był jednym z najdzielniejszych oficerów Sapiehy. Dawniej służył on Radziwiłłom;

otumaniony przez nich zdradził również króla Jana Kazimierza i pomagał Szwedom. Zrozumiawszy jednak haniebne zamiary Radziwiłłów, cofnął się z fałszywej drogi i aby zmazać winy swe względem ojczyzny, z całym zaparciem się siebie, oddał siłę swą i zdolności wojskowe na usługi Jana Kazimierza. Do Radziwiłłów, którzy narazili go na utratę czci, zapłonął straszną nienawiścią: z niesłychaną zręcznością niszczył ich wojska, odcinał tabory i amunicję. Samego Bogusława Radziwiłła udało mu się raz porwać, jednak księżę umknął, raniąc w głowę Kmicica. Bogusław myślał, że pan Andrzej umrze od rany; ten jednak wyzdrowiał i dalej rozpoczął walkę.

\* \* \*

Po odejściu Sakowicza, hetman zwrócił się zaraz do pana Andrzeja:

Czemuś to mówił: „gorze”, gdy o tym schwytanym człowieku była mowa? Znasz tego człowieka?

— Znam — odrzekł blednąc ze wzruszenia i wściekłości Kmicic. — Wyprawilem go jeszcze ze Lwowa do Taurogów... Księżę Bogusław porwał dó Taurogów pannę Billewiczównę.... Miłuję tę

panne!.. Mieliliśmy się pobrać... Wysłałem tego  
człeka, aby mi o niej dał wiadomość...

— Uspokój się, — rzekł hetman. Czyli ksią-  
żę zna tego człowieka?

— Zna. To wachmistrz, Soroka... Onże mi  
pomagał do porwania Bogusława....

— Rozumiem—rzekł hetman.—Czeka go  
pomsta książęca.

Nastąpiła chwila milczenia....

— Wasza dostojność—rzekł Kmicic—niech  
wasza dostojność mnie do księcia wyśle. Może  
go wydobędę.

— Także ci chodzi o niego?

— Stary żołnierz, stary sługa... Na rękę  
mnie nosił. Siła razy życie mi ratował... Bógby  
mnie skarał, gdybym go w takich terminach za-  
niechał.

I Kmicic drząc począł z żalu i niepokoju,  
a hetman rzekł:

— Nie dziwno mi, że cię żołnierze miłują,  
bo i ty ich miłujesz. Uczynię co mogę. Napiszę  
do księcia, że mu kogo chce za tego żołnierza  
puszczę.

Kmicic porwał się za głowę.

— Co on tam dba o jeńców, nie puści go i za trzydziestu.

— To i tobie go nie odda jeszcze na twoje gardło nastąpi.

— Wasza dostojność... ja z listem do księcia pojedę. Może wskóram.... Bóg z nim! Zemstyzaniecham, byle mi tego żołnierza puścił!....

Tegoż jeszcze wieczora Kmicic z listem hetmana pojechał.

\* \* \*

Była blisko północ, gdy pan Andrzej opowiedział się pierwszym strażom książęcym. Bogusław, jakkolwiek febra w połączeniu z silną gorączką dokuczała mu więcej, niż kiedykolwiek, sam wszystkiem zawiadywał i wracał właśnie do Janowa, gdy dano mu znać, iż wysłaniec Sapiehy się zbliża.

Było to już w ulicy. Bogusław nie mógł poznać Kmicica z powodu ciemnej nocy; zwrócił się do niego z zapytaniem.

— Od pana Sapiehy?

— Tak jest. Pismo przywiozłem, a w mojej prywatnej sprawie w kwaterze przemówię.

— To jest i prywatka?

— Znajdzie się prośba do waszej ks. mości.

— Rad będę nie odmówić. Teraz proszę za sobą. Siadaj waść na koń.

Ruszyli.

Kmicic układał sobie z góry, jakimi słowy ma przemówić do księcia aby go skłonić i przekonać.

Tymczasem jechali do książęcej kwatery. Książę zwrócił się do Kmicica i szczękając ciągle zębami, rzekł:

— Proszę za sobą.... Będziem się mogli rozmówić.

Jakoż po chwili znaleźli się obaj w osobnej komnacie, w której na kominie żarzyły się kupy węgla i gorąco było nieznośnie. Tam ułożono księcia Bogusława na długim polowem krześle, okryto futrami i przyniesiono światło. Zaczem dworzanie, oddalili się, książę zaś przechylił w tył głowę, przymknął oczy i tak pozostał czas jakiś nieruchomy.

Wreszcie rzekł:

— Zaraz... niech odpocznę...

Kmicic patrzył na niego. Książę nie zmienił się wiele, jeno febra ściągnęła mu twarz.

Pan Andrzej stał przed nim w świetle świecznika. Książęce powieki poczęły się otwierać leniwie, nagle otworzyły się zupełnie i jakoby płomień przeleciał mu przez twarz. Lecz trwało to przez oka mgnienie, poczem znów zamknął oczy.

— Jeśliś jest duch, nie boję się ciebie, — rzekł — ale przepadnij!

— Przyjechałem z pismem od hetmana — odpowiedział Kmicic.

Bogusław wzdrygnął się nieznacznie, jakoby się chciał z mar otrząsnąć; następnie popatrzył na Kmicica i ozwał się:

— Chybiłem waćpana?...

— Nie ze wszystkim — odpowiedział ponuro pan Andrzej, ukazując palcem na bliźnę.

— Gdzie jest pismo?

— Jest — odrzekł Kmicic, podając list.

Bogusław począł czytać, a gdy skończył nastąpiła chwila milczenia, w czasie której dwóch tych nieubłaganych wrogów mierzyło się oczyma z pewną straszliwą ciekawością.

Książę pierwszy począł rozmowę:

— A żeś to nie bał się tu przyjechać?... —

Kmicic nie odrzekł nic. — Bo to mamy ze sobą rachunki... Mogę cię, panie kawalerze, kazać ze skóry obedrzeć.

— Przyjechałem z prośbą do waszej księżęj mości....

— Proszę! Możesz liczyć, że dla ciebie wszystko uczynię... — Jakażto prośba?

— Jest tu schwytany żołnierz, jeden z tych, którzy mi pomagali waszą księżęcą mość porwać. Ja dawałem rozkazy, on działał jako ślepe narzędzie. Tego żołnierza zechciej wasza ks. mość na wolność wypuścić.

Bogusław pomyślał chwilę.

— Panie kawalerze, — rzekł — namyślam się, czyś lepszy żołnierz, czy też bezczelniejszy suplikant\*)...

— Ja tego człowieka darmo od waszej ks. mości nie chcę.

— A co mi za niego dajesz?

— Samego siebie.

— Proszę, takiżto rycerz drogocenny? Hojnie płacisz, ale pan Sapieha na takowy układ nie przystanie, — rzekł. — Radbym cię miał,

---

\*) suplikant — podający prośbę.

alem słowem książęcem za bezpieczeństwo twoje  
zareczył.

— Przez tego żołnierza odpiszę panu het-  
manowi, żem dobrowolnie został.

— A on zażąda, bym cię wbrew twojej woli  
odesłał. Zbyt znaczne oddałeś mu posługi....

— To uwolnij waszą ks. mość i tak tego  
żołnierza, a ja się na słowo stawię, gdzie rozkażesz.

— Jutro może mi legnąć przyjdzie. Nic mi  
po układach na pojutrze...

— Błagam waszą książęcą mość! Za tego  
człowieka ja....

— Co ty?

— Zemsty poniecham.

— Widzisz panie Kmicic, siła razy chodzi-  
łem na niedźwiedzia z oszczepem, nie dlatego,  
żem musiał, ale z ochoty. Waść nie umiesz pro-  
sić dość pokornie i na manowce leżesz. Ja ci  
sam podam sposób: uderz jutro w bitwie na pa-  
na Sapięgę, a ja pojutrze tego żołnierza wypu-  
szczę i tobie winy przebaczę... Zdradziłeś Radzi-  
wiłłów, zdradźże Sapięgę...

— Ostatnie to słowo waszej ks. mości?....  
Na wszystko święte zaklinam waszą ks. mość....

— Nie! Dyabli cię biorą, dobrze!... I na twarzy się mienisz.... Nie przychodź jeno za blisko, bo, chociaż ludzi mi wstyd wołać... ale patrz tu! Zbyt-  
niś rezolut!

To rzekłszy Bogusław, ukazał z pod futra, którem był okryty, lufę pistoletu i począł patrzeć iskrzącymi oczyma w oczy Kmicica.

— Wasza ks. mość! zakrzyknął Kmicic, składając wprawdzie ręce jak do prośby, ale z twarzą przez gniew zmienioną.

— To prosisz, a grozisz?... rzekł Bogusław — kark zginasz, a dyabeł ci z za kołnierza zęby do mnie szczyrzy?... Czołem do radziwiłłowskich nóg przy prośbie, mopanku!... Łbem o podłogę bić! wówczas ci odpowiem!...

Twarz pana Andrzeja blada była jak chusta, ręką pociągnął po mokrem czole, po oczach, po twarzy i odrzekł tak przerywanym głosem, jak gdyby febra, na którą cierpiał książę, nagle rzuciła się na niego.

— Jeżeli wasza książęca mość tego starego żołnierza mi wypuści.... to... ja... waszej ks. mości... paść do... nóg... gotów...

Zadowolenie błysnęło w Bogusławowych

oczach. Wroga upokorzył, dumny kark zgiął. Lepszego pokarmu nie mógł dać zemście i nienawiści. Kmicic stał zaś przed nim z włosiem zjeżonym w czuprynie, dygocząc na całym ciele. Twarz jego, nawet w spokoju do głowy jastrzębiej podobna, przypominała tem bardziej drapieżnego rozwścieczonego ptaka. Nie zgadłeś, czy za chwilę rzuci się do nóg, czy do piersi księżcej...

A Bogusław nie spuszczał go z oka, rzekł:

— Przy świadkach! przy ludziach!

I zwrócił się ku drzwiom:

— Bywaj!

Przez otwarte drzwi weszło kilkunastu dworzan. Za nimi poczęli wchodzić oficerowie.

— Mości panowie!—rzekł książę — oto pan Kmicic ma mnie o łaskę prosić i chce wszystkich waszmościów mieć za świadków!...

Kmicic zatoczył się jak pijany, jęknął i padł do nóg Bogusławowych.

A książę wyciągnął je umyślnie tak, że koniec jego rajtarskiego buta dotykał czoła rycerza.

Wszyscy patrzeli w milczeniu zdumieni

słynnem nazwiskiem. Wszyscy rozumieli też, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Tymczasem książę wstał i nie rzekłszy ni słowa, przeszedł do przyległej komnaty, kiwnął tylko na dwóch dworzan, żeby szli za nim.

Kmicic podniósł się. W twarzy jego nie było już gniewu ni drapieżności, tylko nieczułość i obojętność. Zdawało się, iż nie zeznaje wcale, co się z nim dzieje i że energia jego złamała się zupełnie.

Upłynęło pół godziny, godzina. Za oknem słyhać było tentent kopyt końskich, miarowe kroki żołnierzy, on siedział ciągle, jakby kamien-ny. Nagle otworzyły się drzwi do przysionka. Wszedł oficer i ośmiu żołnierzy.

— Mości pułkowniku, powstań waszmość! — rzekł grzecznie oficer. Kmicic popatrzył na niego błędnie.

— Głowbicz... — rzekł, poznając oficera.

— Mam rozkaz — odparł Głowbicz — związać waszej mości ręce i wyprowadzić za Janów. Na czas to wiązanie, później odjedziesz wasza mość wolno... Dlatego proszę waszej mości nie stawiać oporu....

— Wiąź! — odrzekł Kmicic i pozwolił się bez oporu skępować. Ale nóg mu nie wiązano. Oficer wyprowadził go z komnaty i wiódł piechotę przez Janów. Szli jeszcze z godzinę poczem orszak minął brzeźniak i znalazł się w pustem polu, na którem ujrzał pan Andrzej oddział lekkiej polskiej chorągwi Bogusławowej.

Żołnierze stali szeregiem w kwadrat, w środku był majdan, na nim dwóch tylko piechurów, trzymających konie ubrane w szleje i kilkunastu ludzi z pochodniami. Przy ich blasku ujrzał pan Andrzej pał świeżo zaostrzony, leżący poziomo i przymocowany drugim końcem do grubego pnia drzewa. Kmicica mimowoli dreszcze przeszły.

— To dla mnie — pomyślał — końmi mnie każe na pał nawlec...

Lecz mylił się, pał przeznaczony był przede wszystkim dla Soroki. Przy migających płomykach dojrzał pan Andrzej samego Sorokę; stary żołnierz siedział tuż obok pnia na zydlu, bez czapki i ze skępowanemi rękoma, pilnowany przez czterech żołnierzy. Jakiś człek ubrany w półkożuszek bez rękawów, podawał mu w tej

chwili gorzałkę w płaskim kubku, którą Soroka pił dość chciwie. Wypiwszy, splunął, a że w tej właśnie chwili postawiono Kmicica między dwoma konnymi w pierwszym szeregu, więc żołnierzysko dojrzał go, zerwał się z zydła i wyprostował się, jakby na paradzie wojskowej. Przez chwilę patrzyli na się obaj. Soroka twarz miał dość spokojną i zrezygnowaną, poruszał tylko szczękami, jak gdyby żuł.

— Soroka!... jęknął wreszcie Kmicic.

— Wedle rozkazu!—odpowiedział żołnierz.

I znowu nastało milczenie. Cóż mieli mówić w takiej chwili? W tem oprawca, który podawał poprzednio Soroce wódkę, zbliżył się do niego.

— No, stary,—rzekł—czas na cię!

— A prosto nawłóczcie!

— Nie bój się.

Soroka nie bał się, ale gdy uczuł na sobie ramię oprawcy, począł sapać szybko i głośno, narazie rzekł:

— Gorzałki jeszcze....

— Niema!

Nagle jeden z żołnierzy wysunął się z szeregu i podał blaszaną.

— Jest. Dajcie mu.

— Do ordynku!—zakomenderował Głowbicz.

Jednakże człek w kożuszku przechylił manierkę do ust Soroki, on zaś pił obficie, a wypwszy odetchnął głęboko.

— Otl!—rzekł—żołnierski los, za trzydzieści lat służby... Nu, czas, to czas. Drugi oprawca zbliżył się i poczęto go rozbierać.

Nastąpiła chwila ciszy.

Pochodnie drżały w rękach trzymających je ludzi. Wszystkim uczyniło się straszno.

Wtem pomruk zerwał się wśród otaczających majdan szeregów i stawał się coraz głośniejszy. Żołnierz nie kat. Sam zadaje śmierć, lecz widoku męki nie lubi.

— Milczeć!—krzyknął Głowbicz.

Pomruk zmienił się w gwar głośny, w którym brzmiały pojedyncze: słowa „dyabli!” „pio-runy!” „pogańska służba!”. Nagle Kmicic krzyknął tak, jakby jego samego na pal nawłóczono:

— Stój!!

Oprawcy wstrzymali się mimowoli.

Wszystkie oczy zwróciły się na Kmicica.

— Żołnierze — krzyknął pan Andrzej.—

Książę Bogusław zdrajca przeciw Królowi i Rzeczypospolitej! Was otoczono i jutro w pień wycięci będziecie! Zdraycy służycie! Przeciw ojczyźnie służycie! Ale kto służbę porzuci, zdrajcę porzuci, temu przebaczenie królewskie, przebaczenie hetmańskie!... Wybierajcie! Śmierć i hańba, albo nagroda jutro! Wybierać!! Nie wam, godnym żołnierzom, zdraycy służyć! Niech żyje król! Niech żyje hetman wielki litewski!

Gwar przeszedł w huk. Szeregi złamały się. Kilkanaście głosów krzyknęło:

- Niech żyje król!
- Dość służby!
- Na pohybel zdrajcy!
- Stać! stać! wrzeszczały inne głosy.
- Jutro wam w hańbie umierać! — ryczał

Kmicic.

- Książę zdrajca!
- Przeciw królowi wojujęm!
- Bij!
- Do Księcia!
- Stój!

W zamieszaniu jakaś szabla przecięła powrozy, krępujące ręce Kmicica. Ten zaś skoczył w tej

chwili na jednego z owych koni, które Sorokę na pal naciągnąć miały i krzyknął już z konia:

— Za mną do hetmana!

— Ide! wrzasnął Głowbicz.—Niech żyje król!

— Niech żyje! odpowiedziało pięćdziesiąt głosów i pięćdziesiąt szabel błysnęło jednocześnie.

— Na koń Sorokę! — zakomenderował znowu Kmicic.

Byli tacy, którzy opierać się chcieli, lecz na widok gołych szabel umilkli. Pochodnie zgasły. Ciemność ogarnęła wszystkich.

— Za mną! — rozległ się głos Kmicica.

I kłęb ludzi bezładny ruszył z miejsca, po tym wyciągnął się w długiego węża.

Ujehawszy dwie lub trzy staje, puścili się rysią.

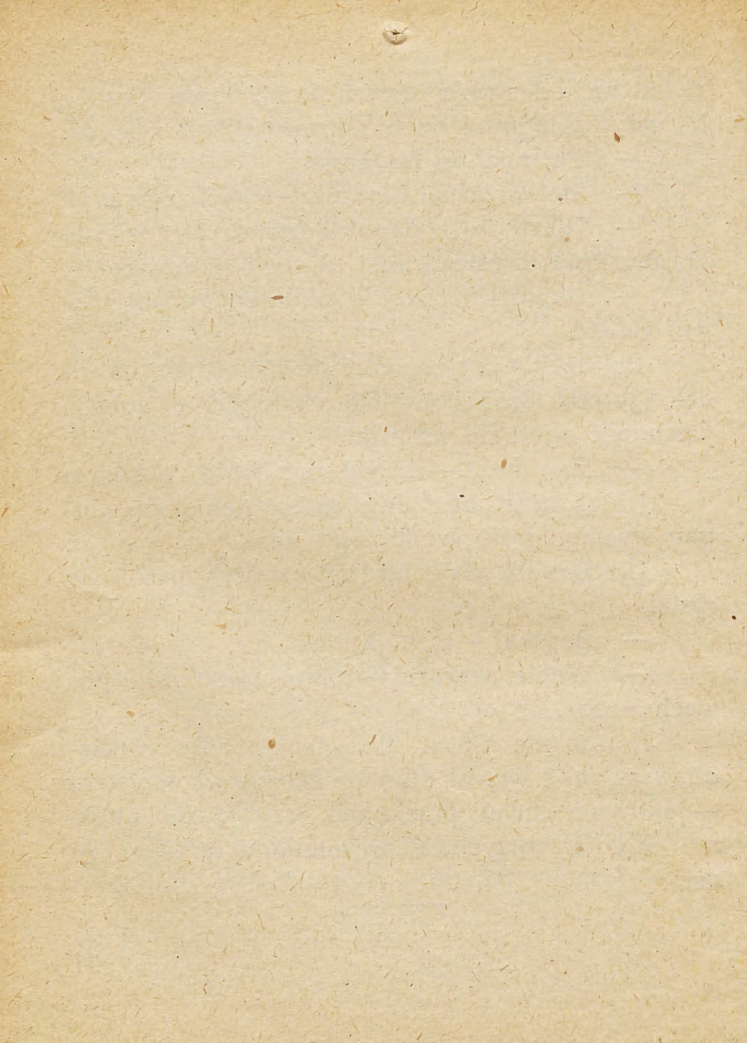
— Soroka! — rzekł Kmicic.

— Wedle rozkazu! — ozwał się obok głos wachmistrza.

Kmicic nie mówił nic więcej, tylko wyciągnawszy rękę wsparł dłoń na głowie wachmistrza — jakby się chciał przekonać, czy jedzie obok.

Żołnierz przycisnął w milczeniu tę dłoń do ust.

---





## CZYTANIA ŻOŁNIERSKIE.

---

- № 1 (b) — Maurycy Zych — Echa Leśne  
(w skróceniu).
- № 2 (c) — według A. Daudet'a. — Dług  
Ojczyźnie. Chorąży.
- № 3 (c) — według E. Amicis'a — O sar-  
dyńskim doboszu.
- № 4 (b) — M. Rodziewiczówna — Kamie-  
nie.
- № 5 (c) — według W. Hugo — Ocalenie.
- № 6 (c) — zbiorek — Czyn chwalebny.
- № 7 (c) — według H. Sienkiewicza — Śmierć  
Longinusa Podbięty.
- № 8 (c) — według W. Hugo — Życie  
Fantyny.
- № 9 (c) — według H. Sienkiewicza — Pan  
Zagłoba.

Broszury oznaczone literą **b** przeznaczone są dla czytelników *bardziej przygotowanych*.

Broszury oznaczone literą **c** czytane być mogą przez wszystkich.

---